

Wysiedlenie, które wspominam określone kryptonimem " Akcja Wisła " dotyczy Łemków zachodnich inaczej zwanvch nadopradzkich, a konkretnie ze wsi Milik k/ Muszyny.

W tym samym czasie, a część nawet tym samym transportem, wysiedlono mieszkańców wsi Krynica wieś, Powroźnik, Jastrzębik, Złockie, Szczawnik, Andrzejówka, Żegiestów, Zubrzyk, Wierchomla oraz wschodnia część mieszkańców masywu Jaworzyny Krynickiej takich jak Muszynka Tylicz, Słotwiny, Mochnaczka, Kopciowa, Łosie, Perest, Wojkowa, Dubne i dalej w kierunku Sącza.

Działo się to latem 1947 roku.

Moje pokolenie nie zaznało ^{radosnego} dzieciństwa. Z perspektywy lat przeżycia i doświadczenia mojego dorastania zawężyły się do fizycznego przetrwania, a dzięki rodzicom przetrwanie to musiało być godne i uczciwe. Taka była zawsze dewiza matki i ojca, że żyć nie można cudzym kosztem, chociaż ubóstwo widoczne było w obojętności na każdym kroku, ~~zosta~~ nie tylko u nas. Wojnę jednak udało się przeżyć, chociaż najstarsza siostra, z braku opieki, zmarła w szpitali nowosadeckim. Styczniowa ofensywa 1945 roku "wypłoszyła" z placówki kompanię Niemców, przeszła też przez wieś kawalkada uciekającego Wermachtu i nacierających wojsk sowieckich.

Wraz z nadejściem tych wojsk, krótkim ich postojem, roznożyła się nasza gehenna WYSIEDLENIE. W dwóch etapach. W kilka tygodni po przejściu frontu we wsi "zainstalowała się" grupa propagandystów NKWD, która przystąpiła do "przekonywania" wszystkich mieszkańców aby dobrowolnie zdeklarowali się na wyjazd na dawne ziemie polskich kresów wschodnich.

Choć była to moja wczesna młodość, dobrze pamiętam ciągle nachodzenie członków grupy na nasz dom, przymusowe prawie cowieczne zebrania i przekonywanie do opuszczenia stron rodzinnych i wyjazd w nieznaną. Na ten "dobrowolny" wyjazd udało się w końcu zmusić około 150 rodzin z ponad 160 gospodarstw.

Moi rodzice i jeszcze 11 innych rodzin pozostało w rodzinnej wsi. Było to jednocześnie zdeklarowanie swoich związków z rodzinną ziemią.

Dlaczego agitatorom NKWD udało się pozyskać tak dużo rodzin na wyjazd? Argumentów było wiele, być może nie znam wszystkich. Główny jednak atut to wyznanie ~~przeko~~ - katolickie całej ludności wsi, jakoby jednoznacznie kwalifikujące nas do ludności ukraińskiej, której to narodowości nowa Polska nie potrzebuje.

Argumentem jednak głównym była panująca bieda, bowiem wieś była przeludniona. Znaczącym argumentem było to, że straszą wszystkich, jeśli nie zgodzisz się na wschód to Polacy wywoza cię na zachód. Nikt jeszcze nie znał prawdy o układach między rządem Polski i Stalinem, zatem zdecydowanym na pozostanie ten argument wydawał się nieprawdopodobny. No bo jak mógł być poważnie rozważany skoro czuliśmy się obywatelami Polski jednakowo posługujący się mową łemkowska i polska.

Wyjazd na wschód zorganizowany był dosyć sprawnie, ale dopiero w chwili, kiedy zdezorientowani do terminu wyjazdu ludzie zakończyli wiosenne siewy i nasadzenia. Nie było dane doczekać im tych zbiorów. Pojechali by zaznać głodu, poniżenia, represji na ziemi obiecanej, która miała przyjąć ich miłymi. Byli tam traktowani jak obcy i do dzisiaj niewiele przyznaje się tam, że są Łemkami. Zbiorów dokonywali już ludzie "zasiedlający" wieś z polskich rodzin powiatu nowosadeckiego.

Z pierwszymi osiedleńcami w Miliku życie zaczęło układać się nieźle. Było ich niewiele. Rodziny Gardoniów, Swiderskich ... zaczęły uczyć się gospodarzyć w nowych warunkach terenowych. Warunki te były i są bardzo trudne. Między dziećmi i młodzieżą szybko zawiązały się przyjaźnie we wspólnych zabawach, w drodze do szkoły, w szkole. Był czas, bo do szkoły trzeba było iść aż do Muszyny niechota.

Szybko w cerkwi zaczęto odprawiać msze w obrządku rzymsko katolickim. Na msze te uczęszczały wszystkie rodziny łemkowskie i polskie. Paradoxem jest, że jako grekokatolik byłem pierwszym ministrantem na mszach rzymsko katolickich.

To szoku jaki przeżyliśmy w trakcie opuszczania wsi przez rodziny wyjeżdżające na wschód powoli zaczęliśmy wracać w rytm życia. Ojciec, jak zawsze ufny, uznał że trzeba dobudować obiekty gospodarcze i już w 1946 roku postawił nową stodołę i stajnię. Miało już być dobrze.

Strach wrócił wiosną 1947 roku. Nadeszły wieści, że wysiedlenie na Ziemię Odzyskaną jest aktualne. Ojciec nie dawał wiary, Jak to - on żołnierz, krótko u Hallera, potem w służbie czynnej uczestnik przewrotu majowego, który w plecaku znalazł dwie kule, który jako żołnierz nadterminowy pomagał w szkoleniu młodego wojska, który od 1925 roku związał się z państwową pracą jako dróżnik, ma opuścić swą ojcowiznę?

Nie. To nie mieściło się w Jego głowie. Pamiętam jak matka płakała, jak on ją pocieszał, że wyjazdu nie będzie, bo na taką karę niczym nie zasłużyliśmy.

I znów po wiosennych pracach polowych, gruchnęła wieść. Rusini /bo/ tak nas nazywała ludność polska z Muszyny / będą wywiezieni. Po zasiewach, w okresie przednówka niewiele można było zabrać. Matka ususzyła skrzynkę chleba, co okazało się pociągnięciem bardzo przydatnym.

Był koniec czerwca 1947 roku. Niedziela. Jak zawsze z rana szykowaliśmy się do kościoła. Nagle do wsi zjechało Wojsko Polskie. Żołnierze stali się opiekunami naszych rodzin. Wojskowe rozkazy były krótkie. Termin na spakowanie do wyjazdu 2 godziny.

Gehennę pakowania, paniki, strachu i płaczu nie jestem w stanie opisać. Wyszliśmy w długą drogę furmanką ciągniętą przez 2 krowy i przyczepioną z tyłu jałówkę. Opuszczaliśmy dolinę rzeki Miłik /nazwa od nazwy wsi/ aby doliną Popradu minąć wieś Andrzejówkę, zasynany tunel kolejowy i dotrzeć po obiedzie do Żegiestowa gdzie ładowaliśmy się na towarowe wagony kolejowe. Pamiętam drogę doliną kochanego Poradu. Po drugiej stronie rzeki Słowacka wieś Legnawa. Doszła do nich wieść, że nas wysiedlają. Nie wiem jak to się stało że oni wyszli nad rzekę aby patrzeć na nasz los. Dzwony ich kościoła długo nas żegnały. Były żałośnie i trwożnie. Ich głos był też pociechą, że chociaż tam nas rozumieją.

Nie mogę tego powiedzieć o tych co pozostali tj. nowych osiedleńców w mojej wsi. Niestety obok obojętności zaczęto dzielić nasz dobytek który na biedną furmankę się nie zmieścił. Pamiętam jak jeden "zajął" maszyny rolnicze, inny meble, w tym zabytkowe, a inny /Helak z Muszyny/ pozostał do opieki nad gospodarstwem, które okazuje się wcześniej sobie upatryzył. Podział nastąpił szybko. Z obiecanych należności pozostały obiecanki i zakaz odwiedzania starych miejsc.

Fierwsze lata to ogromna tęsknota za swoimi górami. Nikt jednak nie odważa się je odwiedzać. Obowiązuje zakaz -bo to strefa nadgraniczna. Próba odwiedzin jednego z wysiedlonych /Knapik Pazyli/ zakończyła się 48 godzinnym pobytem na MO w Muszynie i ogólnym poturbowaniem. To skutecznie podziało na innych.

Zakładunek trwał do późnego wieczora. Nie mogę dzisiaj zrozumieć jak do jednego małego wagonu towarowego zmieściło się trzy rodziny. Po jednej jego stronie było trzech rodzin po drugiej trzy rodziny z całym dobytkiem. Tak stłoczeni wędrowaliśmy aż do 17 lipca 1947 roku, by w końcu na stacji Chojnów wyładować się.

Ta prawie 3 tygodniowa wędrówka to wynik najprawdopodobniej bałaganu, bowiem jak wytłumaczyć, że po 2-3 razy byliśmy na tej samej stacji /np. Kluczborku / lub staliśmy kilka dni bez prawa opuszczania transportu w Oświęcimiu. Dziś wiem, że tam wybierano z transportu osoby do obozu w Jaworznie.

Lato 1947 roku w okolicach Chojnowa było szczególnie upalne z ogromną ilością komarów. My musieliśmy w tym skwarze przebyć trasę z Chojnowa do Okmian przez Witów tj. około 18 kilometrów. Droga ta trwała cały dzień. Rano opuściliśmy Chojnow. Był to widok niesamowity. Biedne, wymęczone bydło zaprzężone do małych górskich wozów, za wozem ludzie, dzieci. Prowadzacy konwoj /z PUR-u/ zarządził potrzebę zameldowania się na posterunku Milicji, wobec czego skierowano wszystkich do wsi Witków dokładając tym samym kilka dodatkowych kilometrów po drodze piaszczystej, na której wąskie metalowe obręcze kół głęboko się wciskały.

Do miejsca przeznaczenia dotarliśmy późnym wieczorem. Nocleg pod gołym niebem. Wszyscy razem. Dorosli czuwają na zmianę bo nagle sytuacja stała się napięta. Miejscowi, przesiedleńcy z za Buga wrogo nastawieni - twierdzą że nie chcą ukraińców, chociaż dziwi ich dlaczego rozmawiamy lepiej po polsku niż oni. Oni między sobą zawodzą z ukraińska. Rano sołtys zezwala na poszukiwanie sobie domu - gospodarstwa, ale zastrzega że część z nich jest zajęta choć nikt tam nie mieszka. Domów jest jeszcze kilka, ale rozproszone. Ze względu na stosunek do nas miejscowych wszyscy chcą być blisko siebie. W końcu jakoś zagospodarujemy ten dach nad głową. Domy są, ale żeby w nich mieszkać trzeba szukać okien, drzwi, podłóg, naprawiać piece. Brak jakichkolwiek mebli, sprzętu, narzędzi itp. Trzeba jakoś żyć. Brak jest wszystkiego. Najgorsze, że żniwa już się skończyły. Ktoś trafił na pole PGR. Szukał kłosów. Było ich dużo ale zabroniono je zbierać. Pierwsza zima była okropna. Dobrze, że ojciec podjął pracę jako dróżnik za 10 000 zł. Starczało za ledwie na chleb. Do pracy ojcu było daleko. Postanawia więc szukać innego domu, bliżej miejsca pracy. W gminie wskazano mu ruinę we wsi Krzywa. Postanawiamy tam zamieszkać chociaż znów trzeba jakoś - naprawiać. Jest już rok 1949. Nadal życie piekielnie ciężkie. Pola już zajęte a wolne skrawki mocno rozproszone i to najgorszej klasy. Pamiętam jak dokonywaliśmy orki krowami wśród leżących min. Miny te po wielu latach przyniosły niejedno nieszczęście. Po kilku latach gospodarka chociaż bardzo mała potrzebuje zaplecza. Ojciec znów jak w 1934 roku, 1946 roku i teraz buduje stodołę, oborę. I tak jako chłono-robotnik żyje do emerytury.

Moje życie w kilka lat po przyjeździe na Zachód potoczyło się już odrębną drogą.

Jestem już na emeryturze ,ale nadal pozostała tęsknota za moim górskim dzieciństwem i ból że tak się stało.